

□ Czas czytania: 20 min.

W poniższym przemówieniu, wygłoszonym przez Don Bosco między 30 kwietnia a 1 maja 1868 roku, święty postanawia podzielić się ze swoimi młodymi snem równie niepokojącym, co odkrywczym. Poprzez pojawienie się potwornej ropuchy i wizję winorośli symbolizującej wspólnotę Oratorium, ukazuje duchową walkę toczącą się w każdym sumieniu, piętnuje wady zagrażające życiu chrześcijańskiemu – przede wszystkim pychę i nieskromność – oraz wskazuje środki zaradcze: posłuszeństwo, modlitwę, sakramenty, pracę i naukę. Celem nie jest przestraszenie, lecz wstrząśnięcie: Don Bosco mówi jako troskliwy ojciec, pragnący poprowadzić swoich „synów” do nawrócenia i radości owocnego i trwałego życia w wolności dzieci Bożych.

Dnia 29 kwietnia Księdza Bosko oznajmił chłopcom: Wczoraj wieczorem, w poniedziałek, a także w niedzielę miałem wam powiedzieć parę rzeczy, gdybym wam tego nie powiedział, zdaje mi się, że przed czasem musiałbym się pożegnać z tym światem. Muszę wam wyjawić parę spraw bardzo niemiłych. Pragnę, aby się na słówko stawili i rzemieślnicy.

W czwartek 30 kwietnia, po modlitwach wieczornych rzemieślnicy ze swego portyku, gdzie zazwyczaj przemawiał do nich Ksiądz Rua, albo Ksiądz Francesia, przyłączyli się do swoich kolegów z gimnazjum, a Ksiądz Bosko tak począł mówić:

– Moi drodzy chłopcy! Wczoraj wieczorem zapowiedziałem wam, że mam przed wami poruszyć pewien temat bardzo przykry. Miałem sen i byłem zdecydowany nawet nie wspomnieć wam o nim, ponieważ miałem wątpliwości, czy nie jest on snem zwykłym, jak inne sny, które pochodzą tylko z wyobraźni, a następnie z tego względu, że ilekroć jakiś sen wam opowiedziałem, zawsze zachodziły pewne uwagi i zastrzeżenia. Lecz drugi sen zobowiązał mnie do wyjawienia pierwszego, tym bardziej, że od kilku dni znowu zaczęły mnie prześladować widzenia, zwłaszcza przez trzy ostatnie noce. Wiecie, że byłem w Lanzo na krótkim wypoczynku. Otóż ostatniej nocy, którą spałem w tym zakładzie, kiedy udałem się do łóżka i już zasypiałem, przedstawiło się mojej wyobraźni to wszystko, co wam teraz mam zamiar opowiedzieć.

Zdawało mi się, że wszedł do mego pokoju olbrzymi potwór, który posuwał się naprzód i stanął w sam raz w nogach mego łóżka. Miał obrzydliwy wygląd ropuchy, a wielki był jak wół.

Ja wpatrywałem się w niego, tając oddech w piersiach. Potwór rozrastał się do monstrualnych rozmiarów, rosły mu rogi, głowa, całe ciało, a im większym się

stawał, tym straszniej wyglądał. Był koloru zielonego z czerwoną pręgą około pyska i gardła, która czyniła go jeszcze ohydniejszym i bardziej przerażającym. Jego ślepią ziały ogniem, a uszy miał bardzo małe i z kości. Zauważywszy to, pomyślałem sobie: Ależ ropucha nie ma uszu! Na nosie sterczały mu dwa rogi, a z boku wyrastały dwa olbrzymie zielonkawe skrzydła.

Łapy miał jakby lwie, a za nim poruszał się długi ogon, który rozwidlał się w dwa ostre zakończenia.

Miałem wówczas wrażenie, że się go wcale nie boję, ale ten potwór zbliżył się do mnie i otworzył swą paszczę ogromną i uzbrojoną olbrzymimi kłami. Dopiero wtedy przestraszyłem się bardzo. Poznałem w nim szatana z piekła, ponieważ miał wszystkie cechy szatańskie. Przeżegnałem się, lecz to nic nie pomogło, szarpnąłem za dzwonek, ale o tej godzinie nikt nie przyszedł, nikt mnie nawet nie słyszał, krzychałem na próżno, potwór ani na krok nie odstępował. Czego chcesz ode mnie, wstrętny szatanie?! Krzyknąłem. Lecz on jeszcze bardziej nachylił się nade mną, nastawiając i nadymając swoje uszy. Wreszcie położył przednie łapy na krawędzi łóżka, wlaź na nie powoli, obejmując je tylnymi łapami i zatrzymał się na chwilę, patrząc mi pilnie w oczy. Później przybliżył swą paszczę okropną tuż do mojej twarzy, mnie zaś zdjęło tak wielkie obrzydzenie, że porwałem się z łóżka i miałem już wyskoczyć na ziemię, gdy potwór na całą szerokość otworzył swój pysk szkaradny. Chciałem się bronić, odepchnąć go, był jednak tak wstrętny, że nawet w tej ostateczności nie śmiałem go dotknąć. Zacząłem krzyczeć, rzucałem ręką dokoła, szukając wody święconej i biłem w mur, nie znajdując jej; a smok pochwycił mnie za głowę tak, że połowa mego ciała znalazła się nagle w jego strasznej gardzieli. Krzyknąłem wtedy: Na Boga żywego! Dlaczego mi to czynisz? Smok na mój głos drgnął i cofnął się nieco, uwalniając mi głowę. Przeżegnałem się wtedy po raz drugi, a dosięgnąwszy palcami kropielniczki, prysnąłem wodą święconą na tę szkaradną bestię. Wówczas szatan zawył przeraźliwie i znikł, a w tej chwili usłyszałem głos, który z wysokości wypowiedział wyraźnie te słowa:

– Dlaczego nie mówisz?

Ksiądz dyrektor z Lanzo, Ksiądz Lemoyne, obudził się tej nocy na moje krzyki, słyszał, że biłem rękoma w mur i z rana zapytał:

– Ksiądz Bosko śnił tej nocy?

– Dlaczego zadajesz mi to pytanie?

– Ponieważ słyszałem, jak Ksiądz Bosko krzyczał.

Przekonałem się zatem, że jest wolą Bożą, abym wam opowiedział to, co widziałem. Postanowiłem niezwłocznie przedstawić wam cały sen, tym bardziej, że jestem do tego zobowiązany w sumieniu i że tylko w ten sposób uwolnię się od tych mar piekielnych. Dziękujemy Bogu za Jego miłosierdzie nad nami, jednocześnie, w

jakikolwiek sposób zechce nam Bóg objawić swą wolę, starajmy się wykonać upomnienia, jakich nam udziela, i skorzystajmy z tych pomocy, które nam ofiaruje dla zbawienia dusz naszych. A ja mogłem w tych widzeniach poznać stan sumienia każdego z was.

Pragnę jednak, aby to, co mówię, nie wyszło poza nasze koło. Proszę was, abyście nie mówili i nie pisali o tym poza obrębem zakładu, ponieważ nie są to rzeczy do wyśmiewania, jak niejeden mógłby to zrobić i aby stąd nie wynikły jakieś nieprzyjemności dla Księdza Bosko. Wam mówię to w zaufaniu, jako moim synom kochanym, a wy słuchajcie mnie, jak swego ojca. Przystępujemy do snów, które chciałem przemilczeć, a które muszę wam opowiedzieć.

Już od pierwszych dni wielkiego tygodnia (5 kwietnia) zacząłem mieć sny, które następnie zajmowały mnie i trapiły przez parę nocy. Nocne przejścia tak mię wyczerpały, że następnego rana więcej byłem zmęczony, niż gdybym pracował przez całą noc, a do tego moje myśli były zmieszane i niespokojne. Pierwszą noc śniłem o swojej śmierci. Drugą, że byłem na sądzie Bożym, gdzie musiałem zdać swoje rachunki przed Panem Bogiem lecz obudziłem się i przekonałem, że jestem jeszcze żywy i mam czas, aby się nieco lepiej przygotować do świętej śmierci. Na trzecią noc śniło mi się, że jestem w niebie, że jest mi tam bardzo dobrze i że cieszę się niezmiernie. Gdy obudziłem się z rana, znikło to słodkie złudzenie, lecz czułem się zdecydowany za wszelką ceną zdobyć wiekuiste królestwo szczęścia, które widziałem we śnie. Dotychczas śniły mi się rzeczy, które nie mają dla was żadnej wartości i nic specjalnego nie oznaczają. Idzie się spać z tymi lub innymi myślami, a we śnie odtwarzają się one w wyobraźni.

Miałem więc czwarty sen i ten właśnie muszę wam opowiedzieć. W nocy z wielkiego czwartku na wielki piątek (9 kwietnia), zaledwie trochę się zdrzemnąłem, wydało mi się, że jestem tu pod tymi portykami w otoczeniu naszych księży, kleryków, asystentów i chłopców. Zdawało mi się następnie, że wszyscy zniknęliście, a ja dalej przechadzałem się po podwórzu. Byli ze mną ks. Rua, ks. Cagliero, ks. Francesia, ks. Savio i chłopiec Preti; w pewnej odległości przechadzali się Józef Buzzetti i ks. Stefan Rumi z seminarium w Genui, nasz wielki przyjaciel. Nagle obecne Oratorium zmieniło swój wygląd i przybrało postać naszego domu z samych początków, kiedy w Oratorium byli przeważnie ci, których wymieniłem. Trzeba zaznaczyć, że podwórze graniczyło wtedy z szerokimi polami nieuprawnymi i pustymi, które rozciągały się aż do cytadeli, a pierwsi chłopcy Oratorium często się na nich bawili. Ja znajdowałem się w pobliżu tego miejsca, gdzie dziś pod oknami mego pokoju, znajduje się stolarnia, a wówczas był ogród warzywny.

Podczas gdy siedząc, rozmawialiśmy o sprawach domowych i sprawowaniu chłopców, oto tu przed tym słupem, który podtrzymuje pompę, a gdzie dawniej

znajdowały się drzwi domu Pinardi, w oczach naszych wystrzelił przepiękny szczep winny, ten sam, który w swoim czasie rósł już na tym miejscu. Myśmy się zdumieli, że latorośl ukazała się po tylu latach i jeden pytał się drugiego, co to może być. Winna latorośl rośla w oczach i wybujała już mniej więcej na wysokość człowieka. Naraz rozpuszcza swe gałązki w olbrzymiej ilości tu i tam na wszystkie strony, a jednocześnie ukazują się nowe pędy. W krótkim czasie nasz krzew tak się rozprzestrzenił, że pokrył całe podwórze i jeszcze przedostawał się na zewnątrz. W tym wszystkim to jeszcze było szczególnego, że gałązki nie wspinały się do góry, lecz rozwieszały się równolegle do ziemi, w kształcie olbrzymiego sklepienia, utrzymując się tak bez żadnej widzialnej podpory. Piękne i zielone były jego liście, które już się rozwinęły, a długie gałązki miały w sobie tężyźnę i żywotność zdumiewającą. Niedługo ukazały się piękne grona, jagody rosły i winogrona nabrały właściwego sobie, prześlicznego koloru.

Ksiądz Bosko i ci, co z nim byli, patrzyli ze zdumieniem i mówili:

– W jaki sposób ten szczep mógł tak prędko wybujać? Co to będzie?

A Ksiądz Bosko: Spokojnie! Zaczekajmy, co nastąpi.

Wpatrywałem się w ten obraz szeroko rozwartymi oczyma bez jednego drgnięcia powieki, gdy oto w jednej chwili wszystkie jagody opadły na ziemię i zmieniły się w chłopców żywych i wesołych, od których zaroilo się podwórze Oratorium i cała przestrzeń, ocieniona baldachimem szczepu winnego: skakali, bawili się, krzyczeli, biegali pod tym szczególnym sklepieniem tak, że z przyjemnością można było na nich patrzeć. Znajdowali się tam wszyscy chłopcy, którzy byli, są i będą w Oratorium i w innych zakładach, ponieważ ogromna większość była mi nieznana.

Nagle pewien człowiek, którego od razu nie poznałem, a wiecie, że Ksiądz Bosko w swoich snach ma zawsze przewodnika, zjawił się w pobliżu mnie i przyglądał się również chłopcom, a wkrótce potem jakaś tajemnicza zasłona zapadła między nami, a tym prześlicznym widokiem.

Ta długa zasłona, nie wyższa od szczepu winnego, zdawała się być przyczepioną do jego gałęzi i spływała na ziemię w kształcie kurtyny. Nic więcej nie było widać, prócz wierzchołków szczepu winnego, co wyglądało, jak szeroki kobierzec zieleni. Wesołość chłopców urwała się w jednej chwili i naokoło zaległo smutne milczenie.

– Patrz! – rzekł mi przewodnik i wskazał na winorośl.

Zbliżyłem się i spojrzałem na ten piękny krzew, który na pierwszy rzut oka ugiął się pod owocami, lecz w rzeczywistości miał same tylko liście, na których wypisane były słowa Ewangelii: „Nic nie znalazł na niej”. Nie wiedziałem, co to miało znaczyć i zwróciłem się do swego towarzysza:

– Ktoś ty jest?... I co znaczy ta winorośl?

Przewodnik w odpowiedzi uchylił zasłonę i ukazał mi za nią wielką liczbę chłopców,

widzianych poprzednio, w znacznej części zupełnie mi nieznanych.

– To są ci, rzekł, którzy z łatwością mogąc wiele w tym domu skorzystać, nie starają się przypodobać Panu Bogu, pozornie tylko zachowują się dobrze, aby nie zdradzić się z prawdziwym swym obliczem wobec dobrych kolegów. Ci przestrzegają dokładnie reguły zakładu lecz tylko z tym wyrachowaniem, żeby uniknąć nieprzyjemności i nie stracić dobrej opinii u przełożonych. Zewnętrznie okazują dla nich największy szacunek lecz nie biorą sobie do serca ich ostróg, zachęty i troskliwości, jaką są, lub będą otoczeni w tym domu. Ich ideałem jest zaszczytne i popłatne stanowisko w świecie. Nie starają się poznać swego powołania, odrzucają wezwanie Boże, jeśli je usłyszą, a jednocześnie udają jak najlepsze zamiary, bojąc się, by ich nie odkryto. Są to w ogóle ci, którzy wszystko czynią z przymusu i nie odnoszą stąd żadnej korzyści na wieczność.

Tak rzekł przewodnik. Ach, z jaką przykrością zobaczyłem w tej liczbie takich, których sam uważałem za bardzo dobrych, oddanych i szczerych.

A przyjaciel dodał:

– To jeszcze nie jest całe zło! i opuścił zasłonę tak, że ukazała się znowu szeroka powierzchnia krzewu winnego.

– Teraz patrz znowu! – powiedział mi.

Spojrzałem na gałązki. Wśród liści, widniały ciężkie, bogate grona, które na pierwszy rzut oka obiecywały obfite winobranie. Już się cieszyłem, ale zbliżywszy się widzę, że te grona są uszkodzone i zepsute. Jedne pokryte były pleśnią, drugie pełne robactwa i owadów, które je pożerały, około innych kręciły się ptaki i osy, niektóre chowały się za liście pokurczone i wyschnięte. Lepiej się przypatrując doszedłem do przekonania, że nic dobrego nie ma w tych gronach i że nic innego nie robią, tylko zatrują powietrze nieczystym zaduchem, który się z nich wydostaje.

Mój towarzysz ponownie podniósł zasłonę.

– Patrz! – zawołał.

I znowu się ukazało wprawdzie już nie to niezliczone mnóstwo naszych chłopców, które widziałem na początku snu, w każdym razie wielu i wielu z nich. Ich twarze, przedtem tak piękne, zbrzydły, nabrały ponurego wyrazu i pokryły się wstrętnymi ranami. Chodzili pokrzywieni, zgarbieni i smutni. Nikt nie mówił. Wśród nich byli ci, co już mieszkali w tym domu i innych zakładach; ci, co są obecnie i wielu, których jeszcze nie znałem. Wszyscy byli przestraszeni i nie śmieli oczu podnieść od ziemi. Ja, księża i ci, co byli przy mnie, stanęliśmy w niemym przerażeniu. W końcu spytałem swego przewodnika:

– Co się dzieje? Dlaczego ci chłopcy, przedtem tak weseli i piękni, teraz są tak smutni i odrażający?

Przewodnik mi odpowiedział:

- Oto skutki grzechu!

Chłopcy tymczasem przechodzili około mnie, a przewodnik mi szepnął:

- Przyglądnij im się nieco lepiej!

Wpatrywałem się w nich uważnie i spostrzegłem, że wszyscy mają na czole i na rękę napisany swój grzech. W tej grupie widziałem nawet takich, że mnie to zdumieniem i przestraszeniem nappełniło. Byłem zawsze przekonany, że są oni kwiatami cnót, a tu tymczasem wychodziło na jaw, jakie szpetne skazy mieli na duszy.

W miarę, jak chłopcy przechodzili, ja czytałem na ich czołach:

Nieskromność, zgorszenie, złośliwość, pycha, lenistwo, obżarstwo, zazdrość, gniew, mściwość, bluźnierstwo, obojętność religijna, nieposłuszeństwo, świętokradztwo, kradzież.

Przewodnik zauważył:

- Nie wszyscy są obecnie takimi, jak tu wyglądają, lecz niezawodnie staną się nimi, jeśli nie zmienią postępowania. Wiele grzechów nie są same w sobie ciężkimi, są wszakże przyczyną i początkiem strasznych upadków i wiecznego zatracenia. Kto gardzi małymi rzeczami, pomału upadnie. Obżarstwo pociąga za sobą nieczystość, pogarda przełożonych przeradza się w pogardę w ogóle kapłanów i Kościoła i tak dalej.

Strapiiony tym widokiem, wyciągam notes i ołówek, aby zapisać nazwiska chłopców poznanych oraz ich grzechy, a przynajmniej wadę główną każdego, gdyż chciałem ich przestrzec i nakłonić do poprawy. Lecz przewodnik chwycił mnie za rękę:

- Co robisz?

- Zapisuję to, co oni mają wyryte na czołach, abym mógł ich upomnieć, a oni się poprawią.

- Nie wolno! - odrzekł stanowczo.

- A to, dlaczego?

- Nie brak im środków po temu, aby się od tych chorób zabezpieczyć. Mają reguły, niech je zachowują. Mają przełożonych, niech ich słuchają. Mają spowiedź, niech jej nie znieważają zamilczaniem grzechów. Mają Komunię św., niech jej nie przyjmują z duszą splamioną grzechem ciężkim. Niech strzegą swego wzroku, unikają złych towarzyszy, powstrzymują się od złych książek i gorszących rozmów. Są w tym zakładzie, gdzie reguły ochronią ich od zguby. Gdy dzwonek dzwoni, niech będą gotowi do posłuszeństwa. Niech nie szukają wybiegów, aby oszukiwać nauczycieli i tracić czas na lenistwie. Niech nie zrzucają z siebie jarzma przełożonych, uważając ich za agentów policyjnych, za fałszywych i stronnich doradców, za wrogów i głosząc zwycięstwo, gdy im się uda zataić jakiś wybryk i ujść sprawiedliwej kary za popełniony występki. Niech się zachowują z uszanowaniem i niech się modlą chętnie w kościele i w innym czasie przeznaczonym na modlitwę bez roztargnienia i

pogawędek. Niech się uczą w uczelni, pracują w pracowni i zachowują należyte formy zewnętrzne. Nauka, praca i modlitwa: oto, co uczyni dobrymi.

Nie zważając na zakaz, jeszcze raz zacząłem go prosić gorąco, aby mi pozwolił zanotować te nazwiska. A on stanowczym ruchem wyrwał mi notes z ręki i rzucił go na ziemię ze słowami:

– Mówię ci, że nie powinieneś zapisywać tych nazwisk. Twoi chłopcy przez łaskę Bożą i głos sumienia mogą się dowiedzieć, co mają czynić, a czego unikać.

– A więc nie będę mógł nic powiedzieć moim drogim chłopcom? Powiedz mi przynajmniej, co mi będzie wolno oznajmić, jakiego upomnienia udzielić?

– Na twoją pociechę możesz im mówić wszystko, co zapamiętasz.

I znowu opuścił zasłonę, a oczom naszym ukazała się winorośl, której gałązki, jakby bez liści, ugięły się pod prześlicznym owocem, rumianym i dojrzałym. Zbliżyłem się, dokładnie obejrzałem zwisające grona i przekonałem się, że z bliska wyglądają równie dobrze, jak z daleka. Przyjemnie było patrzeć na nie i sprawiały rozkosz samym swoim widokiem.

Powietrze dokoła przesyczone było najśłodszym zapachem.

Przyjaciel podniósł szybko zasłonę. Pod tym tak obszernym sklepieniem znajdowało się wielu naszych chłopców, którzy są, byli i będą z nami. Wyglądali prześlicznie i promieniali radością.

– Ci to są i będą, powiedział, w których duszy starania twoje odnoszą i odnosić będą dobre wyniki; ci, którzy żyją cnotliwie i sprawią ci wiele radości.

Ucieszyłem się, ale jednocześnie smutek mnie przeniknął, gdyż ich nie było tak wielu, jakbym się spodziewał. Wtem rozległ się dzwonek na obiad i chłopcy odeszli z podwórza, a klerycy udali się na swoje stanowiska. Rozglądnąłem się dokoła, lecz już nikogo nie widziałem. Winorośl ze swymi gałązkami i gronami też znikła.

Obejrzałem się za tym człowiekiem i jego nie zobaczyłem. Wówczas się obudziłem i mogłem nieco odpocząć.

Dnia 1 maja, w poniedziałek, Księdza Bosko opowiadał dalej:

– Jak wam wczoraj wieczorem mówiłem, obudziłem się jakoby na dźwięk dzwonka, lecz wkrótce usnąłem znowu i spałem jakiś czas spokojnie, gdy po raz drugi doznałem wstrząsu i w jednej chwili wydało mi się, że siedzę w swoim pokoju i załatwiam korespondencję. Wyszedłem na balkon, przez chwilę podziwiałem olbrzymią kopułę nowego kościoła, a następnie zszedłem pod portyki. Z wolna przychodzili od swoich zajęć nasi księża i klerycy, którzy wieńcem otoczyli mnie dokoła. Między nimi znajdowali się ks. Rua, ks. Cagliari, ks. Francesca i ks. Savio. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, gdy oto nagle zmieniła się dekoracja sceny. Znikła świątynia Maryi Wspomożycielki, rozwinęły się wszystkie obecne budynki

Oratorium i znaleźliśmy się przed starym domem Pinardi. I oto znowu wystrzela z ziemi krzew winny w tym samym miejscu, co poprzednio, jak gdyby wyrastał z tych samych korzeni, rośnie tej samej wysokości, następnie wypuszcza niezmierną moc gałązek, rozciągniętych horyzontalnie na szerokiej przestrzeni, gałązki pokrywają się 146 liśćmi, kwitną, a po chwili widzę już dojrzewające szybko winogrona. Lecz zastępy chłopców ze snu poprzedniego już się nie zjawily. Grona były tak wielkich rozmiarów, że przypomniła się Ziemia Obiecana. Trzeba by całej siły człowieka, ażeby jedno z nich ruszyć. Jagody były nadzwyczaj duże, kształtu podłużnego, prześlicznej barwy złocistej, dojrzałe najzupełniej.

Jedna napełniłaby całe usta. Wyglądały w ogóle tak cudownie i pociągająco, że ślinka szła na ich widok, a każda jakby mówiła: Zjedz mnie!

Również ks. Cagliero przyglądał się z zachwytem temu zjawisku wraz z Księdzem Bosko i innymi księżmi, a Ksiądz Bosko zawołał: Co za wspaniałe winogrona!

Ks. Cagliero natomiast, nie bawiąc się w komplementy, podszedł do winorośli, urwał kilka jagód, włożył jedną do ust i rozgryzł zębami, lecz w tej chwili twarz mu się wykrzywiła goryczą i wstrętem oraz tak szybko wypłuł te jagody, jak gdyby wymiotował. Winogrona miały obrzydliwy smak zgniłego jaja. Do kata! Zawołał ks. Cagliero, splunawszy kilka razy. Ależ to trucizna, to okropność, która może zabić pocziwego człowieka!

Wszyscy spoglądali na to w milczeniu, gdy oto z zakrystii dawnej kaplicy wychodzi jakiś poważny człowiek, zbliża się do nas i staje przy Księdzu Bosko. Ksiądz Bosko go zapytał:

– Co to znaczy, że te piękne winogrona są tak niesmaczne?

On nic na to nie odpowiedział, lecz z wielką powagą wziął pęk kijów, wyciągnął jeden bardzo sękaty i zwróciwszy się do ks. Savio, ofiarował mu go ze słowami:

– Weź i bij w te gałęzie!

Ks. Savio odmówił i cofnął się o jeden krok wstecz. Wówczas ten człowiek zwrócił się do ks. Francesia, podał mu kij i rzekł:

– Weź i bij! oraz jak ks. Savio pokazał mu miejsce, gdzie ma uderzyć. Ks. Francesia wzruszył ramionami i wyciągając szyję, pokręcił lekko głową, że nie. Nieznajomy podszedł do ks. Cagliero i chwyciwszy go za rękę, pokazał mu kij, powtarzając po raz trzeci:

– Weź i bij, niszcz i łam! i pokazał mu, gdzie ma rozpocząć swą robotę.

Ks. Cagliero zmieszany odskoczył od niego i klasnąwszy rękoma, zawołał: Tylko tego brakowało!

Przewodnik jeszcze raz podał mu kij, mówiąc:

– Weź i bij!

A ks. Cagliero, krzycząc z przestachem:

- Mnie nie! Mnie nie! Ja nie! Ja nie! schował się za mnie.

Co widząc ten jegomość, nie straciwszy bynajmniej fantazji, w ten sam sposób zaczepił księdza Rua:

- Weź i bij! - a ks. Rua podobnie, jak ks. Cagliero, ukrył się za mną.

Wtedy ja się zetknąłem twarzą w twarz z tym szczególnym człowiekiem, który stanąwszy przede mną, rzekł do mnie:

- Weź i bij ty w te gałęzie Ja zrobiłem wielki wysiłek, aby się przekonać czy jestem we śnie, czy na jawie i zdawało mi się, że to wszystko jest rzeczywistością.

Odrzekłem wtedy:

- Któż ty jesteś, że przemawiasz do mnie w ten sposób? Powiedz mi, po co właściwie mam bić w te gałązki winne, po co je łamać? Czy to sen, czy złudzenie? Co to jest? W czym imieniu to mówisz? Czy może w imieniu Boga?

- Zbliź się do tego szczepu, odrzekł mi i czytaj na tych liściach. Zbliżyłem się, uważnie przyjrzałem się liściom i wyczytałem na nich: Na cóż ma miejsce zajmować?

- Jest to zdanie z Ewangelii, objaśnił mój przewodnik.

Zrozumiałem aż nadto dobrze znaczenie tych słów, zauważyłem jednak: Zanim uderzysz, przypomnij sobie, że w Ewangelii stoi również, iż Pan na prośbę ogrodnika pozwolił bezużyteczną roślinę obłożyć nawozem i pielęgnować, zastrzegając sobie jej wyrwanie dopiero po wyczerpaniu wszelkich prób, aby przyniosła dobry owoc.

- Dobrze! Można się zgodzić na odwleczenie kary, lecz tymczasem patrz, a potem się przekonasz. I wskazał mi na winorośl. Ja patrzyłem, ale nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Chodź bliżej i zobacz. Czytaj, co jest napisane na jagodach?

Ksiądz Bosko się zbliżył i zobaczył, że wszystkie jagody mają na sobie napisy, a mianowicie nazwisko jednego z chłopców i nazwę jego grzechu. Zacząłem je czytać i zadrżałem: Pyszny, niewierny swoim przyrzeczeniom, mściwy, bez serca, świętokradca, gardzi powagą przełożonych, kamień zgorszenia, wyznawca fałszywej nauki. Widziałem imiona tych, których Bogiem jest brzuch; tych, których wiedza nadyma, tych, co szukają, co ich jest, a nie, co Jezusa Chrystusa; tych, którzy podnoszą głos przeciwko przełożonym i regułom. Były imiona tych nieszczęsnych, którzy byli lub obecnie przebywają wśród nas i wielka liczba imion nowych, to jest tych chłopców, którzy będą z nami w przyszłości.

- Oto owoce, które przynosi ta winnica, rzekł z groźną powagą ten człowiek owoce gorzkie, złe, zgubne dla wiecznego zbawienia.

Bez namysłu wyciągnąłem notes i chciałem zapisać odnośne nazwiska lecz przewodnik powstrzymał mi rękę, jak za pierwszym razem i rzekł:

- Co robisz?

- Pozwól mi zapisać imiona tych, których znam, ażebym mógł ich prywatnie upomnieć i poprawić.

Na próżno prosiłem. Przewodnik mi nie pozwolił, a ja rzekłem ze smutkiem: Lecz jeśli im powiem, jak się sprawy mają, w jakim pożałowania godnym stanie się znajdują, opamiętają się niezawodnie.

A on do mnie:

- Jeśli nie wierzą Ewangelii, nie uwierzą i tobie.

Nalegałem, ponieważ chciałem to zanotować z myślą o przyszłości lecz ten człowiek nic już nie odpowiedział i przystąpiwszy do ks. Rua z pękiem kijów, zaproponował mu, żeby wziął sobie jeden i rzekł:

- Weź i bij!

Ks. Rua rozkrzyżował ręce, spuścił głowę i mruknął:

- Co za nieznośny człowiek! - następnie zaś spojrzał na Księdza Bosko.

Ksiądz Bosko skinął na znak przyzwolenia, a ks. Rua chwycił kij w rękę, zbliżył się do winnicy i zaczął ją bić w oznaczonym miejscu. Zaledwie kilka razy uderzył, gdy przewodnik dał mu znak, żeby zaprzestał i krzyknął do wszystkich: Uciekajcie!

Wszyscy odeszliśmy na pewną odległość. Obserwując winogrona zauważyliśmy, że rosną, olbrzymieją, stają się okropne i wstrętne. Wyglądały jak ślimaki bez skorup, były koloru ciągle żółtego i nie traciły kształtu winogron. Przewodnik krzyknął jeszcze:

- Patrzcie! Oto Pan wykona swą zemstę!

I naraz niebo się zaciemnia i chmura tak gęsta, że nie było w niej widać ani na krok, zakrywa cały krzak winny. Wszystko rozplywa się we mgle i ciemności. Wśród oślepiających błyskawic i strasznego huku tak często uderzają pioruny po całym podwórzu, że skamienieliśmy z trwogi. Szalony wichur łamie gałęzie i porywa liście. Wreszcie sroga, gęsta ulewa spada na nieszczęsny krzak. Chciałem uciekać lecz przewodnik zatrzymał mnie, mówiąc:

- Patrz, jaki grad!

Spojrzałem i zobaczyłem, że z trzaskiem padał grad o ziarnach wielkości kurzego jaja, częścią czarny, a częścią czerwony. Każde ziarno z jednej strony było ostre, a z drugiej ścięte na płasko. Grad czarny spadał na teren pobliski mnie, a nieco dalej padał czerwony.

- Co to jest?, mówię. Jeszcze nigdy nie widziałem podobnego gradu.

- Chodź bliżej - powiedział mi nieznajomy przyjaciel a zobaczysz.

Zbliżyłem się nieco do czarnego gradu, lecz taki zaduch wionął z niego, że mnie wstecz odrzuciło. A on coraz bardziej nalegał, abym się zbliżył. Ostatecznie wziąłem do ręki jedno ziarno gradu czarnego, aby je zbadać lecz w tejże chwili musiałem rzucić je na ziemię, takim wstrętem przejęła mnie ta woń zatruta, i rzekłem:

- Nic nie mogę zobaczyć!

A on:

- Patrz dobrze, a zobaczysz!

Dopiero z największym wysiłkiem zdołałem zobaczyć, że każde ziarnko lodu nosi napis: *Nieskromność*. Podszedłem następnie do gradu czerwonego, który był zimny, zapalał jednak wszystko, na cokolwiek upadł. Podniosłem jedno ziarnko, które cuchnęło podobnie, lecz już z większą łatwością mogłem na nim przeczytać: *Pycha*. Na ten widok, przestraszony i zawstydzony, zawołałem:

- Więc to są te dwa największe błędy, które zagrażają naszemu zakładowi?

- To są te dwa największe błędy, które przywodzą do zguby większą część dusz nie tylko w twoim zakładzie, ale o ileż więcej i na całym świecie. W swoim czasie zobaczysz, ilu ludzi dla tych właśnie grzechów strąconych zostanie do piekła.

- Co więc mam powiedzieć moim synom, aby się ich wystrzegali?

- Co im masz powiedzieć, wiesz już sam mniej więcej.

I po tych słowach oddalił się ode mnie. Jednocześnie grad przy blasku piorunów i błyskawic uderzał z szaloną furią na nieszczęsną winorośl. Winogrona zostały poobrywane, wbite w ziemię i zmiażdżone, jak w kadzi pod nogami robotników. Mętny, cuchnący sok rozlewał się po ziemi. Zaduch straszliwy napełnił powietrze i tamował oddech w piersiach. Z każdej jagody biła odmienna woń lecz jedna była nieznosniejsza od drugiej, zależnie od rodzaju i liczby grzechów. Nie mogąc dłużej wytrzymać, podniosłem chustkę do nosa i obróciłem się szybko, aby uciec do swego pokoju lecz nie zobaczyłem już swoich towarzyszy, ani ks. Francesia, ani ks. Rua, ani ks. Cagliero. Zostawili mnie samego i uciekli. Dookoła panowała głucha, okropna pustka. Tak się wówczas przestraszyłem, że rzuciłem się do ucieczki... i obudziłem się.

Jak widzicie, ten sen jest bardzo przykry lecz o tym, co nastąpiło wieczorem i w nocy po ukazaniu się smoka, powiemy później, mianowicie pojutrze, w niedzielę 3 maja, a to będzie o wiele gorsze i przykrzejsze. Teraz nie możecie jeszcze poznać następstw tego wszystkiego, ponieważ brak już czasu, więc, żeby nie skracać sobie spoczynku, idźcie już spać, a ja wam o tym opowiem przy innej okazji.

Należy zauważyć, że z ciężkich braków, odkrytych przez Księdza Bosko, nie wszystkie odnosiły się do tych czasów, obejmowały, bowiem częściowo i szereg lat następnych. Bo rzeczywiście widział on nie tylko wszystkich, którzy byli poprzednio lub współcześnie w Oratorium lecz i nieskończoną ilość twarzy nieznanych chłopców, którzy mieli należeć do jego zakładów, rozsianych po całym świecie. Podobieństwo o bezpłodnej winnicy, zawarte w księdze Izajasza, obejmowało kilka wieków historii.

Jednocześnie nie wypada i stanowczo nie wolno zapominać o tym, co przewodnik

powiedział do Błogosławionego: „Nie wszyscy ci chłopcy obecnie są takimi, jakimi ich widzisz lecz staną się nimi kiedyś, jeśli nie zmienią swego postępowania”.
Ścieżka grzechu prowadzi do przepaści.

Dodajmy również, że w powyższym widzeniu ukazała się Księdzu Bosko jakaś osobistość, której on na razie nie poznał, a która mu służyła za przewodnika i tłumacza. W opowiadaniu tego lub innych snów Ksiądz Bosko zazwyczaj nazywa go nieznajomym, ażeby ukryć najważniejszy szczegół swego widzenia, a także to, co zbyt jasno wskazywałoby na udział sił nadprzyrodzonych w tych widzeniach.

Kiedyśmy go kilkakrotnie pytali, opierając się na niezwyklej poufałości, jaką nas zaszczycał, na temat tego nieznajomego, chociaż odpowiedzi jego nie były wyraźne, to jednak z innych poszlak i wskazówek musieliśmy się przekonać, że przewodnik nie był zawsze ten sam i prawdopodobnie raz był aniołem Bożym, inny raz jednym ze zmarłych wychowanków, kiedy indziej był nim św. Franciszek Salezy, św. Józef lub inni święci. Niekiedy wyraźnie mówił, że towarzyszem jego był Alojzy Comollo, Dominik Savio lub też Alojzy Colle. Wielekroć stosownie do osób zmieniała się scena i inne przypadłości i zjawiska, które stanowiły odpowiednie tło dla każdej.

(MB IT IX, 154-165; MB PL IX, 139-150)